Nr. 11 Rok 4
Kraków, dnia 14 marca 1943.



Znana gwiazda filmowa
Marika Rökk

Do naszego reportażu wewnątrz numeru

Fot Ufa



ATAK PRZY 30° PONIŻEJ ZERA
Niemieccy grenadierzy obsadzili wieś sowiecką i wyszukują w płonących domach resztki nieprzyjaciół. Mundur zimowy i maska chronią żołnierzy przed mrozem.

NA WSZYSTKICH FRONTACH





U góry:

OBRONA PRZECIWLOTNICZA
Na małych sankach przewozi niemiecka obrona przeciwlotnicza swe działa na główną linię walk.

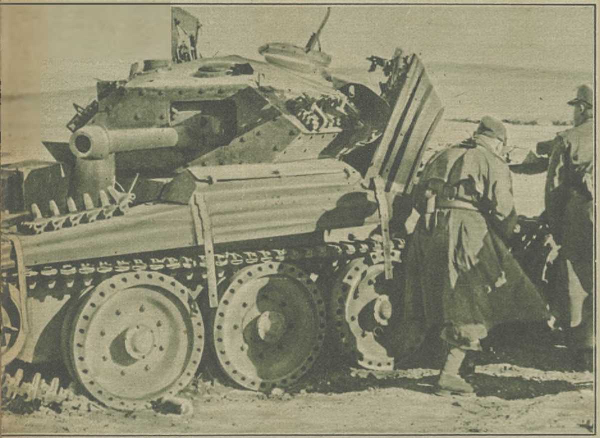
Na prawo u góry:

BROŃ BUDZĄCA GROZĘ
Niemieckie działa suną przez las ku liniom sowieckim.



W DRODZE NA FRONT
Niemieccy grenadierzy idą na główną linię walk, aby zluzować swych kolegów.





Na lewo:

NAD MORZEM ŚRÓDZIEMNYM
Eskadra niemieckich samolotów transportowych wiezie wojsko i sprzęt wojenny na front afrykański.

U góry:

UNIESZKODLIWIONY
Niemieccy oficerzy oglądają jeden z czołgów amerykańskich, rozbitych w Tunisie. Również ten ciężki wóz nie mógł stawić czoła niemieckiemu ogniowi.





Na lewo:

NA OCEANIE LODOWATYM
Straż na niemieckiej łodzi podwodnej. Wszystkie przedmioty pokrywa gruba warstwa lodu, mimo to jednak łódź pełni swą służbę.

Na lewo z kraja:

ŁÓDŹ PODWODNA ZANURZA SIĘ
W kilku minutach zanurzy mechanik łódź pod wodę, skoro tylko przygotowania do ataku będą ukończone.

Na prawo:

W PEŁNYM BIEGU
Łódź podwodna w czasie burzy na morzu. Marynarz mierzy szybkość wiatru.

Na prawo z kraja:

NA POKŁADZIE W CZASIE JAZDY
Niemiecki marynarz wykonuje poleconą mu pracę na pokładzie łodzi podwodnej. By podczas szybkiej jazdy nie wpadł do wody, jest on przywiązany liną.

Fot: PK. Fritsch, Koltzenburg, Lepmann, Hielscher, Kramer, U-Waffe-PBZ, Schnitzer, Garms-Atl., Walda, Frechmann-Scherl





ZE ŚWIATA FILMU

LUDZIE I TYPY PRZED OBIEKTYWEM





Willy Birgel elegancki odtwórca poważnych i tragicznych ról.



Zarah Leander słynna jako śpiewaczka wielu melodyjnych piosenek.





Odtwórcy wielu niezapomnianych i porywających postaci: Paula Wessely i Emil Jannings należą do najwybitniejszych aktorów odzwierciedlających w swych rolach prawdziwe i głębokie uczucia ludzkie.



Pocałunek w filmie działa zawsze emocjonująco czy to jako zakończenie wesołej historii miłosnej, czy też gdy wprowadza łańcuch pełnych napięcia powikłań (Dorrit Krempler i Willy Fritsch).



Leo Ślezak śpiewak i komik, który już samym swym wyglądem wprawia ludzi w doskonały humor.



Hans Albers lubiany za swą dzielną brawurę, która nie zna trwogi.

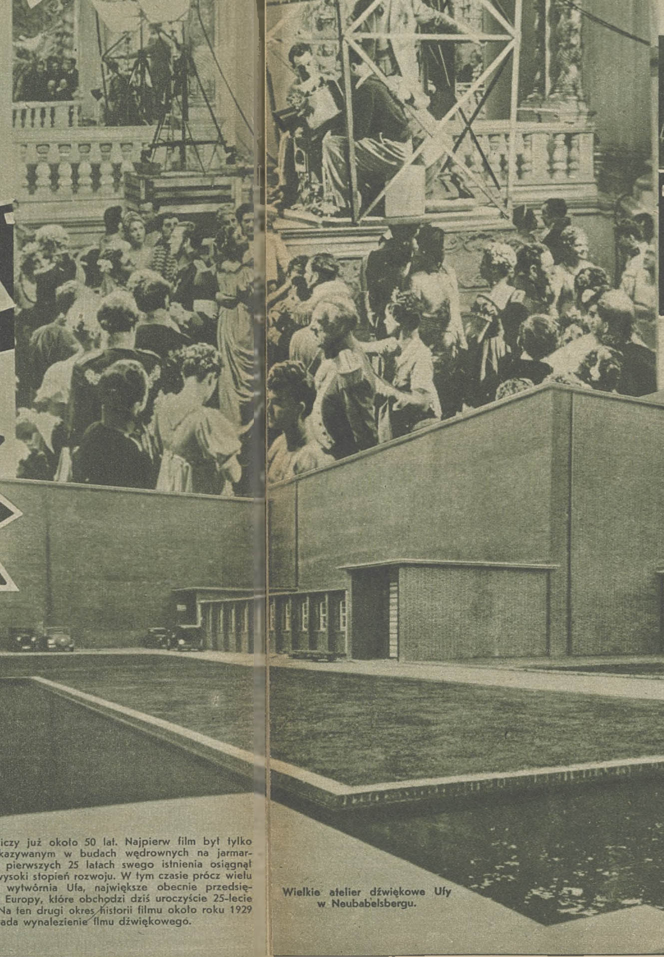


Młodość, światło i humor trzy elementy, które każdego oczarują, o ile nie jest beznadziejnym pesymistą. Mady Rahl jako żeglarka.



Heinz Rühmann, mistrz komizmu zdobywającego nas bez zastrzeżeń.

Fot: Ufa 8, Tobis 3, Wienfilm 3, Bavaria 2, Terra 1.



Kamera nie zna przeszkód, gdy chodzi o stworzenie obrazów pełnych życia. Najprostszy statyw, jaki stosuje się na wolnym powietrzu (zdjęcie na lewo) zamienia się w atelier w skomplikowany, ruchomy wehikół, na którym siada reżyser, by kierować statystami. Na ilustracji Willy Fritsch nakręca scenę z balu.

Wielkie atelier dźwiękowe Ufy w Neubabelsbergu.

Sztuka filmowa liczy już około 50 lat. Najpierw film był tylko widowiskiem pokazywanym w budach wędrownych na jarmarkach. Ale już w pierwszych 25 latach swego istnienia osiągnął jako film niemy wysoki stopień rozwoju. W tym czasie prócz wielu innych powstała wytwórnia Ufa, największe obecnie przedsiębiorstwo filmowe Europy, które obchodzi dziś uroczyście 25-lecie swego istnienia. Na ten drugi okres historii filmu około roku 1929 przypada wynalezienie filmu dźwiękowego.



Marika Röck łączy w swym tańcu temperament i wdzięk Prócz tego zdobyła już głośne imię jako śpiewaczka.





Film, który wywołuje wesołość i humor cieszy się zawsze popularnością publiczności, która jest wdzięczną zarówno komikom — Theo Lingenowi i Hansowi Moserowi jak i zachwyca się świeżą, młodzieńczą, naturalną wesołością Jenny Jugo



Paweł Hörbiger posiada wielostronny talent. Wzrusza on nas do łez w swych tragicznych rolach i zachwyca wesołą pełną humoru grą.



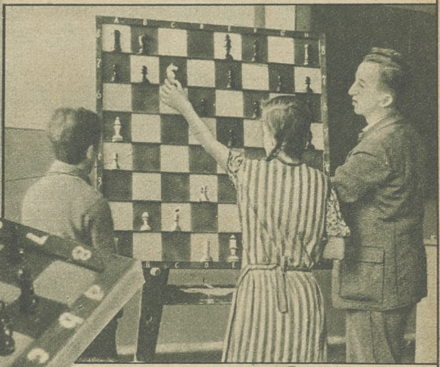
U dołu: Henryk George. Pulsujące życiem kreacje tego artysty pełne są dramatycznej siły ekspresji i przejmują nas swą tragiką.

SZACHY W SZKOLE





Rektor szkoły daje niezbędne wyjaśnienia grupie chłopców grających w szachy.

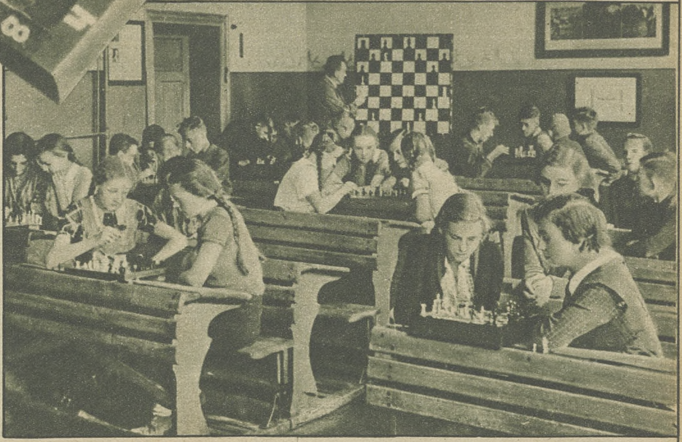


U góry: Nauczyciel wyjaśnia kombinację szachową na wielkiej szachownicy, na której można figury zawieszać na gwoździach.

Cały świat gra dziś w szachy, w ową „królewską grę", która przed wielu setkami lat została wynaleziona w Indiach. Od dawna jednym z ośrodków przemysłu szachowego jest gmina Borstendorf w Saksonii. Nic więc dziwnego, że w tej miejscowości starzy i młodzi z zapałem uprawiają grę w szachy i że dlatego w tej miejscowości wprowadzono do szkoły naukę gry w szachy, jako jeden z obowiązkowych przedmiotów. Oprócz czytania, pisania i rachunków, mają więc mali mieszkańcy Borstendorfu również lekcje gry w szachy, a uczą się oni z prawdziwym zapałem tego przedmiotu, gdyż każdy z nich pragnie zostać kiedyś mistrzem w tej pięknej grze.

Na lewo: Młoda szachistka podczas gry. Uważnie zastanawia się ona nad każdym ciągiem.





Na lewo: Dzieci opuszczają szkołę po nauce. Oprócz książek i zeszytów posiada każde z nich własną szachownicę, na której rozwiązuje w domu zadania szachowe.

U góry: Lekcja w szkole. Dzieci siedzą w małych grupkach około swych szachownic i rozgrywają partie zadane im przez nauczyciela jako zadania szkolne.

Fot: Löhrich

PRZYGODY Pani Haliny



Skolnikowa Maria

Po śmierci męża, młodego, początkującego inżyniera, umieściła Halina Stromska syna, ucznia drugiej klasy gimnazjalnej w internacie i sama wyjechała na posadę na prowincję. Pracowała przed zamążpójściem w sądownictwie i także w sądzie otrzymała ponownie posadę. Jakoś wszystko ułożyło się pomyślnie.

Halina była kobietą bardzo ładną i wiedziała o tym. Postawna, kształtna, o ciemno szafirowych oczach, białej cerze i miedzianym połysku włosów pociągała za sobą wzrok mężczyzn i doskonale zdawała sobie sprawę z ich zabiegów, zresztą nie miała czasu na miłostki i flirty.

Podróż w celu odwiedzin syna była więc jedyną rozrywką w jednostajnym trybie obowiązków i pracy. Raz na miesiąc uniknie plotkarskiej prowincji i swobodnie przejdzie ulicami ruchliwego miasta.

Lubiała to hałaśliwe miasto, w którym spędziła pięć lat ostatnich z mężem. Lubiła je głównie dlatego, że można było tam żyć dla siebie, nie zwracając swoją osobą zainteresowania otoczenia. Więc z ulgą oddychała jadąc w ciasnym przedziale trzeciej klasy do tego dużego miasta.

Otworzyła okno... cudny był dzień majowy.

Zdawało się Halinie, że cały świat jest jakiś rozbawiony, ubrany po świątecznemu... Jak te kwiaty wszędzie pachniały, jak ta trawa spieszyła się, aby wyrastać.

Halina przypomniała sobie nagle, że spotka się na wywiadówce z bratem inżyniera Inkiewicza, który był profesorem gimnazjum — to będzie rzecz nie zbyt miła...

Halina myśląc o inżynierze Inkiewiczu posmutniała ... Żeby móc wykreślić z pamięci wspomnienia, a raczej fakt, który wywołał te niemiłe wspomnienia.

Profesor Inkiewicz był ulubionym nauczycielem Tolka, wobec czego chłopak w historii wykazywał świetne rezultaty. Profesor okazywał uczniowi sympatię, interesował się nim i kierował jego lekturą domową. Halina była mu za to wdzięczną. Przez profesora i jego żonę poznała jego brata młodszego, inżyniera.

Znajomość trwała już rok, aż tu przed dwoma miesiącami doniosła jej Fryda, o oficjalnych zaręczynach inżyniera Inkiewicza z córką bankowca Friedmanna, bogatą i rozpieszczoną jedynaczką.

Fryda pisała, że znajomość ta trwa już od roku, ale panna Wanda jest bardzo ostrożna i ma takie sobie różne „widzi mi się", na które nawet kochający ją ojciec pozwala... Długo też wahała się między adwokatem Jaworskim a inżynierem Inkiewiczem, aż nareszcie zdecydowała się na tego ostatniego.

Halina została tą wiadomością zaskoczona... urażona.

Uświadomiła sobie wprawdzie, że Inkiewicza nigdy nie kochała. Nie odczuwała więc bólu, czuła się tylko śmiertelnie obrażona.

Nie fakt zaręczyn Inkiewicza ją obraził, ale jego nieszczerość — fakt, że jej nigdy nie kochał, kochać nie mógł, jeśli tak nieszczerze postąpił.

Więc nie kochał? Tylko pożądał jak wszyscy, którzy się o nią ubiegali, a którymi tak gardziła, że też ją spotkać mogło takie upokorzenie... Czuła, że spada z tronu, na który się sama wyniosła. Stało się... Halina należała do osób, które fakta dokonane przyjmują tak, jak je przyjąć należy; zrozumiała rzeczywistość.

Napisała do Inkiewicza list z zapytaniem, czy wiadomość o jego zaręczynach jest prawdziwa. Zamiast odpowiedzi, przyjechał osobiście i zabił w niej resztkę szczerej sympatii i szacunku, jaki dla niego żywiła.

Chciał pieszczotami i czułością dowieść jej, że pomimo wszystko kocha ją i że ich stosunek nie ulegnie zmianie.

Wskazała mu drzwi. Wpół nieprzytomny i roznamiętniony musiał odejść. Odezwał się w nim przytłumiony dotąd niski instynkt obrażonego próżnego mężczyzny.

Inż. Inkiewicz był w gruncie rzeczy człowiekiem bez wyższej wartości. Sprytny i inteligentny wiedział jak z ludźmi postępować, by ich sobie ująć. Marzył o karierze, ale uważał, że dla tej kariery nie ma potrzeby wyrzekać się wielu przyjemności życia, do których należała przede wszystkim piękna Halina...

Przeliczył się i za późno się spostrzegł. Powróciwszy po ostatnich odwiedzinach u Haliny, wieczorem do miasta udał się do kasyna na kolację. Wśród znajomych ten i ów widząc go w złym humorze, nie omieszkał zapytać z ironicznym uśmiechem, czy tak wygląda szczęśliwy narzeczony. Na nieszczęście profesor Hajda zapytał co na te zaręczyny mówi piękna Halina? Inkiewicz stracił wówczas wszelkie panowanie nad sobą:

— Czort bierz tę kobietę! Żeby mnie który z was uwolnił od niej. Przylepiła się do mnie. Słuchaj Wróblewski, jesteś przystojny jak sam Apollo, zabierz się do niej i będę ci do śmierci wdzięczny.

Starszy profesor Machaj, spojrzał zagadkowo na Inkiewicza i wyszedł. Zapanowała wśród obecnych chwilowa cisza. Inkiewicz oprzytomniał, ochłonął i począł mówić z wielką werwą o ważnych zdarzeniach politycznych.

Halina o tej scenie nic jeszcze nie wiedziała. Miała jednak na dnie duszy jakieś niemiłe przeczucie... Walczyła z tym przeczuciem i z tym wrażeniem niesmaku i wstydu, które ją ogarniało, aby nie poddać się depresji...

Na stacji czekał Tolek z najeżoną jak zawsze czupryną. Ta czupryna za nic na świecie nie chciała się przyzwoicie układać: tak przynajmniej twierdził Tolek. Był to dosyć wysoki dwunastoletni chłopaczek, regularnych rysów i żywych, szarych oczu. Wykapany nieboszczyk o j c i e c, jak twierdzili znajomi. Jak zawsze, rzucił się gwałtownie matce na szyję, zgniótł jej biały kołnierzyk i przesunął jej kapelusz na bakier. Czuła się tak szczęśliwa, spokojna i pewna siebie, mając syna przy sobie.

Fryda także przyszła na stację. Jasna to była blondynka, średniego wzrostu, niezmiernie żywa w oczach i ruchach. Ubierała się w żywe kolory, ale wszystko było na niej gustowne i tworzyło harmonijną całość.

Halina wydawała się przyjaciółce nieprawdopodobnie spokojną, pogodną, prawie wesołą. Mocno zawiedziona, spytała Fryda przy pierwszej sposobności:

— Słuchaj Halino, czy ciebie naprawdę zaręczyny Inkiewicza nie wzruszyły, nie zmartwiłaś się?

— Dlaczego miałabym się martwić? Obraziła mnie tylko jego nieszczerość, zresztą to już rzecz zakończona.

— Przepraszam za moją niedyskrecję, miałam wrażenie, że się kochacie.

— Możeśmy się kochali, ale zrozum „my", nie ja go kochałam.

— Nie jesteś nieszczęśliwa, czy naprawdę nie kochałaś Inkiewicza?

— Nieszczęśliwa nie jestem. Powtarzam, że czuję się tylko obrażona. Ale nawet i to już minęło. Czy go kochałam, pytasz? Nie, Frydo, nie kochałam go. Nasza znajomość to naturalny rezultat okoliczności... Czy znasz Wandę Friedmannównę?

— Zeszłej niedzieli ją poznałam. Brała udział w koncercie, którego dochód przeznaczono na sieroty. Grała na skrzypcach. Cudnie grała, i wygląda bardzo miło i dystyngowanie. Ma ten Inkiewicz szczęście!

— Życzę mu tego... Na wywiadówce spotkam się na pewno z jego bratem i to nie zbyt miłe... Żeby już mieć tę wywiadówkę za sobą! Wiesz, mam takie nieokreślone przeczucie, że właśnie tam mnie dziś coś niemiłego spotka.

W obszernym hallu wisiał spis i rozkład sal. Po dwóch panów profesorów znajdowało się w każdej sali. Halina westchnęła z ulgą... Do profesora Inkiewicza nie musiała się udać. W historii stał Tolek dobrze. Udała się naprzód do nauczycieli, przez których został Tolek wykazany do pilniejszej nauki. Wszyscy byli bardzo uprzejmi, a wydawało się Halinie, że przyglądają się jej ciekawie. To ją niepokoiło.

Ostatnia wizyta u profesora matematyki Machaja, który dał chłopcu dwójkę zakończyła się także w sposób dziwny... Profesor Machaj wytłumaczył Halinie, że matematyka to łańcuch, którego nie wolno przerwać, bo runie cała konstrukcja; Tolka więc trzeba przypilnować...

— Poszukam korepetytora, panie profesorze. Może pan profesor będzie tak uprzejmy i poleci mi któregoś ze starszych uczniów.

— Z zasady nigdy nikogo nie polecam. Myślę, że Tolek obejdzie się bez korepetytora. W internacie mają i tak pomoc. Proszę tylko udać się do kolegi Rutkowskiego, który jest dyżurnym w internacie. Poprosi go pani, by zwrócił na Tolka specjalną uwagę, by dopilnował jego matematycznych zadań domowych.

— Bardzo panu profesorowi dziękuję. Zaraz się udam do profesora Rutkowskiego, bo wieczorem wyjeżdżam.

— To będzie pani musiała pójść do mieszkania. Nie ma tu dzisiaj kolegi; mieszka także w internacie... Przepraszam... pani pracuje w sądzie prawie że cały dzień, czy pani to nie męczy?

Nasunęła się Halinie myśl, że może słyszał coś o jej znajomości z inż. Inkiewiczem i może myśli, że liczyła na małżeństwo, i przez współczucie stara się być dla niej uprzejmy. To ją upokarzało i złościło.

— Nie, panie profesorze, praca w urzędzie nie męczy mnie. Jestem zdrowa i lubię z życiem się borykać, — odpowiedziała Halina i podała profesorowi rękę na pożegnanie. Miała wrażenie, że chciał jeszcze coś powiedzieć, ale jej pośpiech przy pożegnaniu speszył go widocznie.

Straciła humor i zainteresowanie otoczeniem. Wywiadówka ożywiała ją zwykle, lecz tym razem miała to nieprzyjemne uczucie, że panuje wśród profesorów jakiś pobłażliwy nastrój dla wybryków Tolka i współczucie dla niej. To ją irytowało...

Teraz jeszcze droga do internatu.

Pożegnawszy się z Tolkiem, po niezbędnym napomnieniu, na które chłopak zasłużył, skierowała się dość spokojnie znanymi ulicami... plantami... Wszystko dziś przypominało jej dawne, miłe czasy spędzone tu z mężem.

Internat dla uczniów gimnazjalnych był także budynkiem nowoczesnym i odpowiadał pod każdym względem swoim celom.

Zapukała i weszła...

Po jakimś kwadransie opuszczała internat, a prof. Rutkowski zmieszany i przerażony odprowadził ją aż do bramy. Zapewniał, że Tolka dopilnuje, przepraszał za coś, ale Halina nie zwracała na to uwagi, nie podała mu ręki na pożegnanie u bramy. Pędziła jak szalona.

Dzięki Bogu, Frydy jeszcze nie było. Rzuciła się na otomanę i poczęła spazmatycznie płakać.

Zmęczona płaczem leżała jeszcze chwilę nieruchomo, zapatrzona w sufit. Wreszcie wstała. Przeszukała szufladki w toaletce Frydy i znalazła co chciała. Zażyła kilka kropel walerianowych, rozebrała się i umyła w zimnej wodzie. Potem starannie wysmarowała twarz, by zatrzeć ślady zdenerwowania i płaczu. Ubrała się również starannie i wyszła.

Stanęła przed drzwiami kawalerskiego mieszkania inż. Inkiewicza. Jeszcze krótka chwila wahania... Energicznie nacisnęła dzwonek dwa razy.

Wyszedł sam Inkiewicz.

— Ach, pani ... co za niespodzianka... Co tu robić? Jest u mnie dyrektor Friedmann.

— To, co mam panu do powiedzenia może i dyrektor Friedmann słyszeć.

Inkiewicz był zaskoczony, ale po krótkiej chwili uspokoił się i wprowadził Halinę do pokoju.

Friedmann był człowiekiem stosunkowo jeszcze młodym, dla grzechów młodości wyrozumiałym i na uroki płci pięknej czułym. O stosunku jego z Haliną coś słyszał, coś o nim nawet pewnego dnia napomykał i jak się Inkiewiczowi zdawało, stosunek ten podnosił go w oczach Friedmanna. Bogaty bankier był zdania, że z wyboru kochanek można oszacować mężczyznę. Nie było się więc czego obawiać.

— Bardzo pana dyrektora przepraszam... pani Stromska chciała ze mną pomówić... Dyrektor Friedmann, proszę pani.

— Panie dyrektorze, proszę nie odchodzić, — zawołała Halina. — Jest mi bardzo miło, że pan będzie obecny podczas naszej rozmowy. Jestem przekonana, że pan, mając dorosłą córkę, jest mojego zdania, że cnota i opinia kobiet jest zależna tylko od honoru i dyskrecji danych mężczyzn...

Inkiewiczowi przypomniała się scena w kasynie i zrobiło mu się gorąco. Liczył jednak ciągle na subtelność i takt Haliny.

— Krótko i węzłowato powiem panom o co idzie... Ponieważ mój syn został wykazany z matematyki i prof. Machaj radził mi zwrócić się do prefekta, udałam się więc do jego mieszkania, bo dziś niedziela i kancelaria internatu zamknięta. Przedłożyłam mu moją prośbę. Profesor Rutkowski był bardzo uprzejmy; obiecał mi, że zajmie się moim chłopcem i dopilnuje jego nauki, że zrobi co tylko może i dodał... że może będę i ja dla niego uprzejma... Zaskoczyło mnie to i uraziło, więc ostro zapytałam, jak mam rozumieć te słowa. Zmieszał się, więc dobitniej jeszcze powtórzyłam pytanie i dodałam, że chcę wiedzieć jakim prawem śmie mnie obrażać. Nie miał wyjścia i opowiedział mi o zajściu w kasynie... Pamięta pan, panie inżynierze?

— Ach! — wydobył z siebie Inkiewicz.

— Czy pan słyszał coś o mojej znajomości z inż. Inkiewiczem, panie dyrektorze?

My - i ludzie

CREDO

Szczęście swoje prześliczne, a kapryśne imię
rzadko bardzo — i krótko — pisało mym [illegible]!
Zato przez serce moje — jak koło olbrzymie
przetoczyło się życie z bezlitosną mocą...

... i to właśnie z mej duszy wyrwało na wieki
zdziwienie nad czymkolwiek — siejąc pobłażliwość!
i już wiem, że z nas każdy jest tylko człowiekiem!!
i jest zły, albo dobry — smutny lub szczęśliwy...

Gdy zbrodniarz na szafocie z przekleństwem na ustach
kończy swe dni szkodliwe, budząc ulgi zgrozę,
myślę, że w życiu jego była jakaś pustka... ...
może najnieszczęśliwszy był ze wszystkich stworzeń...

Oto mówię Wam, Wszyscy którzy w piersiach macie
nieugaszoną żagiew, a sąd twardy wokół:
Świat osądza inaczej — ja sądzę inaczej,
bo łzę potrafię zgadnąć i w kamiennym oku!

o, Wszyscy, razem ze mną w życie zaplątani!
Wy macie rany w piersiach... Ja mam w piersi ranę...
Taką mam dla Was litość! Miejcież litość — dla mnie!!

M. I. Hessel

Dla wszystkich mam błękit w myślach i słów pogodną różowość!
dla wszystkich jestem szczęśliwy i nieprzerwanie radosny!
dla ludzkich ciekawych oczu mam bujnie kwitnącą młodość
i ust pąsowe gorąco w uśmiechu soczystym i mocnym!

I mówię wszystkim, że świat jest tęczą rozpiętą nad życiem...
że tak jest łatwo nie cierpieć w jej siedmiobarwnym uścisku...
że człowiek każdy, to uśmiech w pierwszym wiosennym rozkwicie...

— A to, że kiedyś ja może ból okrwawiłem na wargach
i że to chyba nie uśmiech(!) twarz mi bruzdami poznaczył —
nieważne! — Ale dlatego nie chcę niczyją być skargą
rzucając w tłum uścisk ręki twardej, zgrubiałej od pracy.

I przeorałem sam siebie w jedno pragnienie gorące!!
bo wiem, że w życiu człowieka jedna jest radość najgłębsza.
Dla wszystkich mieć błękit w myślach!
Dla wszystkich w herbie mieć słońce!
— by w ludzkich duszach i oczach rzeźbić słoneczne popiersia!!!

Bronisław Król

Dyrektor był w rozpaczy. Nie wiedział co odpowiedzieć.

Halina, która nigdy w ważnych momentach życia nie traciła panowania nad sobą, pomimo, że była z natury nerwowa i wrażliwa, mówiła w dalszym ciągu spokojnie.

— Więc słyszał pan... Proszę być spokojnym, ta znajomość nie ubliża panu Inkiewiczowi; był wolny i ja również. Dowiedziawszy się o jego zaręczynach, uważałam znajomość naszą za skończoną. Nie chciał zrozumieć, więc wskazałam mu drzwi... Mniejsza o to, to była nasza osobista sprawa. Nikogo obchodzić nie powinna i nie obchodziłaby, gdyby pan Inkiewicz zachował się tak, jak należało. — Przerwała na chwilę.

— Pan Inkiewicz oświadczył w gronie kolegów i prof. gimnazjum, że nie może się mnie pozbyć, prosił obecnych, by go który z nich ode mnie uwolnił. Dlatego naiwny prof. Rutkowski myślał, ze wolna do mnie droga... Pan daruje, panie dyrektorze, że przestanę być może kobietą, ale jestem sama, bez opieki, więc muszę być zawsze samodzielną... Widocznie nie obowiązują już obyczaje naszych ojców, dlatego nikt z panów nie dał panu Inkiewiczowi nauczki. I jestem zmuszona sama to uczynić.

Po tych słowach przystąpiła Halina do inż. Inkiewicza i uderzyła go mocno w twarz.

Dyrektor Friedmann zamienił się w słup soli.

Halina blada jak trup, obtarła rękę chusteczką, schyliła lekko głowę w stronę dyrektora i wyszła.

Dyrektor pospieszył za Haliną, odprowadził ją do bramy. Zawołał swojego szofera i kazał odwieźć... Sam powrócił do Inkiewicza.

Halina prawie nieprzytomna zajechała do mieszkania Frydy.

— Dla Boga, co ci Halu? Jesteś blada, przestraszyć się można!

— Niedobrze mi się zrobiło. Trochę się zdenerwowałam i boję się ataku nerwowego... Zrobię sobie zimny okład na głowę.

Halina podeszła do umywalki, podniosła karawkę z wodą. Wtem runęła bezwładnie.

Kiedy wróciła do przytomności, zdawało jej się, że obudziła się z ciężkiego snu, tylko drganie przebiegające na przemian to ręce, to nogi, to powieki, przypominało jej co zaszło. Leżała apatycznie zmęczona... Starała się nie myśleć i udawało jej się to.

Umysł jej wypoczywał po ciężkim wysiłku, a na dnie duszy czuła się ze swego czynu zadowolona.

Oddano list Frydzie, w którym Friedmann zapowiadał swoją wizytę i kiedy przybył, został przez Frydę przyjęty.

Bankier Friedmann pochodził z majętnej rodziny. Był to człowiek średniego wzrostu, szpakowaty, z nieznaczną łysiną, ale pomimo pięćdziesięciu lat, młody z usposobienia i wyglądu. Był elegancki, wykształcony, kulturalny i na ogół lubiany przez swoich urzędników i przyjaciół. Brał udział w pracach społecznych i wspierał kilka instytucyj filantropijnych. Córkę swoją dosłownie ubóstwiał i każde jej życzenie było mu rozkazem. Dziwiono się ogólnie, że panna Wanda, żyjąc w takich warunkach pozostała skromną, dobrą i że była zawsze taka miła.

Przybywszy ze szczerą troskliwością pytał dyrektor o stan zdrowia pani Stromskiej. Fryda uspokoiła go. To co usłyszała z ust dyrektora nie zdziwiło jej wcale. Wiedziała, że Halina nigdy się nie cofała przed wykonaniem tego, co w danej chwili uważała za stosowne. Bała się jednak, że postępowanie przyjaciółki wywarło może złe wrażenie na dyrektorze, dlatego zapytała:

— Ale... Pan chyba nie bierze jej tego za złe.

— Broń Boże, droga pani, przeciwnie, podziwiam pani przyjaciółkę, jej zdecydowanie, jej odwagę, a w imieniu mojej córki i w imieniu własnym muszę jej podziękować, więc dlatego przybyłem. Kiedy wolno mi widzieć się z panią Stromską?

— Panie dyrektorze, z odwiedzin musi pan na razie zrezygnować. Pan był świadkiem zajścia i widok pana będzie dla Hali w obecnym nastroju bardzo przykry. Zastanawia mnie jeszcze jedna rzecz. Jak przyjęła pańska córka tę wiadomość.

— Jestem pewny, że córka Inkiewicza nie kochała, uważała tylko, że może on być odpowiednim mężem dla niej, zwłaszcza w oczach otoczenia.

— Dzięki Bogu. To da się wszystko naprawić. O ile więc panu na znajomości z Haliną zależy, to proszę przysłać jutro swoją córkę, by ona naprzód odwiedziła moją przyjaciółkę i mnie. Wprawdzie śmietanka miejska będzie się gorszyć, ploteczki będą chodziły, ale można ich nie słyszeć.

— Bajkowy pomysł. Jestem pani bardzo zobowiązany... Jak długo ma pani Stromska urlop?

— We czwartek ma być w sądzie.

— Więc i pani urlop do czwartku zapewniony, zatelefonuję zaraz do pani szefa, mojego kolegi.

Po odejściu Friedmanna namyślała się Fryda, wreszcie postanowiła nie powiedzieć Halinie o tych odwiedzinach. Był u niej Tolek, więc nie zauważyła wizyty dyrektora. Następnego dnia, powróciła Fryda z miasta i poczęła opowiadać dyplomatycznie:

— Wiesz Halko, co mi się przytrafiło, zajrzałam do biura i zwolnili mnie do jutra. Pomyśl sobie spotkałam na ulicy Friedmannównę, która mnie wprost zaczepiła i oświadczyła, ze przyjdzie cię odwiedzić.

— Kiedy przyjdzie?

— Dziś o szesnastej. Jeżeli się czujesz słaba to zatelefonuję i poproszę na jutro.

— Nie trzeba. Dobrze że przyjdzie.

I spotkały się dwie na zewnątrz do siebie nie podobne kobiety. Kwitnąca i przyciągająca swą urodą Halina i ujmująca swoim urokiem Wanda.

Na powitanie uścisnęły sobie ręce milcząco, ale życzliwie i obserwując się wzajemnie wybuchnęły obie śmiechem.

Fryda osłupiała, ale pohamowała się i postanowiła zaczekać, co po tym śmiechu nastąpi.

Pierwsza oprzytomniała Halina.

— Widzi pani, co z tego wyniknie, jak normalnym, młodym kobietom zechce się zejść na drogę kompromisu. Nie można bezmyślnie i bezkarnie iść przez życie. Naraziłyśmy się tylko na nieprzyjemności. Pani przynajmniej nic nie straciła, ale ja... Mniejsza zresztą o to, ja też mogę więcej wytrzymać... Czy pani wie, że Fryda jest panią oczarowana?

— Pani znów oczarowała mojego ojca. Oj, pani Halino, nie wytrzymałabym konkurencji tak ładnej macochy. Przyjaciółki to tak... Dowiedziałam się od pani Frydy, że jest pani świetną pianistką. Przyjadę więc jutro po panie i zatrzymam je na obiedzie. Tatko będzie w siódmym niebie, skorzystam z tego, i wymogę na nim pozwolenie na wyjazd do Pragi Czeskiej, do muzycznego zakładu słynnego prof. Szewczyka.

— Doskonały pomysł z tym kształceniem swoich wybitnych zdolności. Celem życiowym kobiety jest podobno miłość i macierzyństwo ale to samodzielności nie wyklucza. Tylko kompromisu w miłości nie trzeba dopuszczać.

— Żeby na przyszłość unikać błędów, potrzebne było ich poznanie. Widzi pani, pani Halino, że skorzystałyśmy na doświadczeniu. Postanowiłam, że panią jutro, po odwiedzinach u mnie, odwiozę moją maszyną. Zabiorę szofera, żebyśmy mogły przez drogę rozmawiać. Zgadza się pani?

— Zgadzam się, ale pod tym warunkiem, że wyjedziemy nie zbyt późno i że zabierze pani mojego dzikusa Tolka tam i z powrotem. Spełni się jego marzenie, będzie chłopak siedział obok szofera i będzie połykał kierownicę wzrokiem; może mu się nawet uda trochę coś pokręcić... Frydo, wstąpisz jutro do internatu i zwolnisz Tolka na ten czas. Jak trochę później przyjedzie, to Rutkowski też nic nie powie, tego jestem pewna.

Przy herbacie mówiły o muzyce. Halina i Wanda zgadzały się w zupełności, że jeżeli chodzi o nowoczesną muzykę, to wolą Szymanowskiego niż Różyckiego; jeżeli można mówić o jakimś sentymencie w muzyce, to Halina lubi Dworzaka, a Wanda Szuberta... Imienia Inkiewicza nie wspomniano w tej rozmowie ani razu tak małą rolę odgrywał w życiu tych dwóch kobiet...

W następny dzień z rana wybrała się Fryda do miasta i wstąpiła do internatu. Rutkowskiego zastała w kancelarii i ubawiła się jego naiwnie zdziwioną miną, kiedy usłyszał, że panna Friedmannówna odwiezie panią Stromską autem, że Tolek ma matkę odprowadzić i panna Friedmannówna odwiezie go z powrotem na czas oznaczony do internatu.

Fryda miała z czego być zadowoloną. Była taką sobie niepokaźną rozwódką i nikt nie zwracał dotąd na nią uwagi. Lecz teraz będą się z nią liczyć, bo jest przyjaciółką pani Stromskiej i znajomą dyrektora Friedmanna i jego córki.

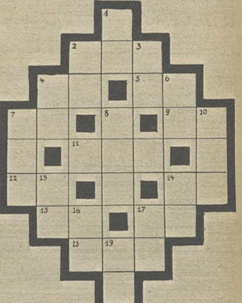
Ciąg dalszy nastąpi

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Krzyżówka

Poziomo: 2. Imię żeńskie; 4. materiał na suknie; 5. ludzie różniący się od siebie; 7. zwyczaj ubierania się; 9. podstawa, fundament; 11. wozy kolejowe; 12. sprzęt szkolny; 14. okres, etap; 15. elegancka pani; 17. obszar ziemi; 18. pustynia w Afryce.

Pionowo: 1. silne skaleczenie; 2. srebrna moneta hiszp. do 1870 r.; 3. ciężar zewnętrznego opakownia; 4. napój; 6. kraina w płd. Arabii; 7. wieś w powiecie Krakowskim; 8 stan atmosfery; 10. epidemia; 13. błąd; 14. spieniona woda (liczba mn.); 16. olbrzymia ilość; 17. okres zmiany miesięcy w roku; 19. wiszące łoże.



ROZWIĄZANIE Z NR 10
Szybkie obliczenie

Nr 10—20 obejmują nie dziesięć ale jedenaście drzew.

Tak więc Franciszek będzie miał do oczyszczenia 110 drzew a Antoni tylko 90.

Logogryf

1. jacht, 2. kasztel, 3. emerytura, 4. elektorat, 5. chaos, 6. hamak, 7. partytura, 8. konfitura, 9. kinkiet, 10. Capri.

Czytamy I. K. P.

DZIEŃ PRACOWITY

Swit się czyni — zatem pacierz
Potem cały dzień o Tobie
A gdy wieczór idzie na noc
Znów o Tobie na dobranoc ...

Jerzy Saplica

Nowa wiosna

Moja droga, skończyłam dziś czterdzieści dwa lata, trochę więcej niż ty, która zaledwie przekroczyłaś czterdziestkę. Mam czterdzieści dwa lata, jestem dwa razy matką i raz babką. Otóż znajduję się, jak ty, na tym etapie życia, gdzie każdy czytany lub słyszany wyraz, każde spojrzenie, rzucone na osoby lub przedmioty, nas otaczające, zdają się nas ostrzegać, że to koniec chwil złudzeń, że stanowczo, należy nam szukać ucieczki w miłosiernych uczynkach i pobożności.

Pomimo to, nie jestem ani smutną, ani zmartwioną, pomimo to witam pierwsze słońce wiosenne z tą samą radością, jak przed 30 laty, gdy trzymając się w pół, szłyśmy razem do parku łapać chrabąszcze. Bo istotnie nie mam o trzydzieści lat mniej, wiesz; istotnie stałam się młodszą, młodszą niż w owe czasy. Bo kocham.

Tak kocham. O błagam cię, nie drwij z tego wyznania, ty jedna, której śmiem je zrobić, której potrzebuję je zrobić; ty droga przyjaciółko, któraś tak marzyła, cierpiała i kochała jednym sercem ze mną! Kocham poważnie i szalenie, kocham ciepłem czułości i zapałem pragnienia, jakie mogą wytworzyć najświeższe serca i zmysły w pierwszych uczuciach młodości. — Czy mam o tym mówić? Widzę, że nigdy tak nie kochałam jak dzisiaj.

Stało się to bezwiednie i nagle; zdaje mi się, że to datuje się od bardzo dawnych czasów i jednocześnie, że to wybuchło jak burza, od razu. Istotnie, gdy pierwszy raz ujrzałam tego młodzieńca — było to w pierwszym roku, na początku wakacji, przyjechał przysposobić syna mego do egzaminu, zadziwiłabym się niezmiernie, gdyby mi powiedziano, że ten wątły młodzieniec, który stał przede mną, poważny i nieśmiały wstrząśnie kiedyś posadami mej duszy, jednym tylko wejrzeniem, jednym uściśnieniem dłoni.

Och, te dni wakacyjne od lipca do września świecą w mej przeszłości, jak ognie. Poznaliśmy się prędko z Robertem; rozbroiłam jego nieśmiałość tymi drobnymi słówkami słodyczy, których tajemnicę my kobiety posiadamy, tak jak władamy tymi krótkimi wyrazami które wróżą najzuchwalszą odwagę i niweczą zabiegi w pierwszych wysiłkach. Przed dziesięciu laty byłabym niezawodnie bawiła się w kokieterię, z tym dzieckiem niedoświadczonym; starałabym się rozniecić jego pragnienia, następnie pobudzić je nagłą oziębłością i wyrafinowaną odmową, doprowadzając go do tego stanu szału i rozpaczy, który nam samym daje dowód naszej władzy. Nie uczyniłam nic takiego, moja droga. Zdawało mi się, że czas był mi odmierzony, zbyt krótki, aby drogie jego chwile tracić na niepotrzebne wybiegi. Niepomna na siebie dałam poznać nauczycielowi mego syna, że przy nim było mi najprzyjemniej, nie ukrywałam przed nim, że jego twarz, jego rozum, nawet dźwięk jego głosu były dla mnie najmilszymi; zachęcałam go, aby mnie poświęcał chwile wolne od lekcyj, które miewał z synem i od studiów, które nad sobą prowadził.

Uwielbiam go, i ja z kolei stałam się niespokojną, nieśmiałą. Czy on mnie kocha. Z pewnością przyjemnie mu było przy mnie, czuł wdzięczność za uczucie, które mu okazywałam. Ale czy mnie kochał, jak kochać powinien kochanek; czy pożądał mnie wreszcie? Gdy zostawałam sama, zapytywałam wszystkich zwierciadeł. Starałam się krytykować twarz moją szczerze i bezstronnie, jak się krytykuje twarz obcą. Niestety, zdawałam sobie sprawę, że byłam jeszcze piękną.

Tymczasem dni wakacyjne mknęły z przerażającą szybkością; wrzesień dobiegał końca. Syn mój został przyjęty, Robert pozostawał już jako gość tylko, jako przyjaciel; miał nas opuścić a żadne wyznanie nie miało jeszcze miejsca między nami. Na myśl, że wkrótce nie będę go oglądała, że to życie, przez chwilę spędzone wraz z moim, płynąć będzie gdzieś indziej, że wkrótce inne kobiety ściskać w swych objęciach będą to uwielbiane dziecko, zdobędą jego szczerość, jego pocałunki, zdawało mi się, że własne me życie dobiega do kresu, że widzę przed sobą otwartą trumnę. Usycham nad szukaniem sposobu zatrzymania go przy sobie lub przynajmniej widywania go. Ale nic znaleźć nie mogłam.

A jednak, sposób ten istniał; był nader prosty, a znalazł go mąż mój.

Pewnego razu wziął mnie na stronę i rzekł:

— Moja droga, potrzebuję sekretarza. Co powiesz o młodym Robercie. Wszak inteligentny, pracowity; nie ma jeszcze stanowiska; to, jakie mu chcę dać, może być dlań z korzyścią stwarzając mu stosunki, a jestem pewien, że doskonale się z niego wywiąże.

Los bywa łaskawy. Zachowałam się dobrze, wtrąciłam nawet kilka zarzutów. Jednak mąż wszystkie je odparł i odchodząc, rzekł w końcu:

— Znasz tego chłopca lepiej ode mnie. Pomów z nim pierwsza o tym projekcie i zrób tak, żeby przyjął.

Było wówczas w pół do jedenastej wieczór. Serce miałam tak przepełnione i wzburzone, że nie mogłam wytrzymać w domu. Zarzuciłam szal na ramiona i zeszłam do parku; panowała tam cisza i ciemność. Gdy się na dworze znalazłam, podniosłam oczy, świeciło się w oknach pokoju, które zajmował Robert; nie spał jeszcze. Nagle przyszła mi myśl do głowy i natychmiast całą mną owładnęła: pójść do tego pokoju, ujrzeć niezwłocznie to drogie dziecko, przedstawić mu projekt męża i uzyskać jego aprobatę. Wszystkie wyrzuty konwencjonalizmu, wszelkie nawoływania skromności, wszystko to stłumiłam. Za chwilę pukałam do jego drzwi:

— Proszę! zawołał głosem obojętnym, sądząc zapewne, że ktoś ze służby.

Weszłam... Ale ledwo próg przestąpiłam, gdy ujrzałam Roberta, siedzącego przy pracy, o cudnym swym obliczu, oświetlonym lampą, straciłam całą odwagę; niewłaściwość, bezwstydność mego postępku, stanęły mi przed oczami. Czułam, że podłoga spod nóg mi się usuwa, palce kurczowo chwyciły za odrzwia i byłabym upadła, gdyby Robert nie rzucił się ku mnie i w swe objęcia nie ujął!

Och, to przebudzenie po tym zemdleniu. Robert klęczący przy mnie, z główką swą złocistą u mych ust! Pozostawałam tak chwil kilka, bez poruszania, dając wszystko z sobą robić; wreszcie schwyciłam jego jasną główkę, podniosłam ją lekko, całowałam w drżące oczy, w usta na pół otwarte... A gdy mi odpowiadał pocałunkami, szepnęłam mu do ucha:

— Co myślisz teraz o mnie? — Odrzekł:
— Uwielbiam cię... Nie odtrącaj mnie!... Błagam!

Oto tak. Sen ten trwa od czterech miesięcy przeszło, a szczęścia mego nie ubyło, zdaje mi się, że jestem ciągle jednakowo kochaną. Robert i ja żyjemy pod jednym dachem, jak prawdziwe małżeństwo lub wolni kochankowie. Słyszę jak protestujesz, jak wołasz niemoralność, sama stawiasz sobie pytanie, czy to istotnie ja, która nigdy nie miałam kochanków w chwilach, gdy najbardziej mi się zalecano, teraz we własnym domu oddaję się w ten sposób dziecku, zaledwie pełnoletniemu? Tak, to ja; i czynię to bez żadnych wyrzutów. Kocham Roberta na tyle, żeby dla niego stawić czoło skandalowi i pogardzie świata! Ale, dzięki Bogu, nie robię krzywdy, ani wstydu nikomu, dzieci znajdują się daleko ode mnie. Wtedy, kiedy je miałam przy sobie, dawałam im tylko cnotliwe przykłady. Mąż mój od lat dziesięciu jest mi tylko dyskretnym i oddanym przyjacielem; — nie pozbawiam więc go niczego, co mu jest należnym. Co do młodzieńca, którego jestem kochanką, obdarzam go skarbem najbardziej pożądanym i pamiątką miłości szczerej, bezinteresownej, bezgranicznej, — czyli środkiem do zahartowania serca na drogę życia, do zgotowania ucieczki na wszelkie złe chwile w przyszłości.

Nie, nie czynię sobie wyrzutów, bynajmniej... Mam sobie tylko za złe w tej chwili, że szukam usprawiedliwienia

— Ubóstwiam go, to ci powtarzam!

K. Laudan

MORZE I ONA

M. DALBORÓWNA

Kapitan Wergner miał bezwzględnie za sobą najdłuższą praktykę morską i co za tym idzie mnóstwo przygód i wspomnień...

Nie wiadomo ile właściwie ma lat i jak długo nie rozłącza się ze swoją „Dalą". I w ogóle niewiele wiedziano o nim. Chyba tylko to, że jest starym doświadczonym wygą morskim, że na lądzie stałym nie widzi się go prawie zupełnie, że statek „Dal" nie uchyla się przed żadną z najbardziej niebezpiecznych wypraw bez względu na pogodę i porę, a z każdej wraca zawsze z najlepszym połowem. Koledzy i załoga, o ile nie kierowała nimi jakaś zawiść czy wyrachowanie, mogli mówiąc o nim najpochlebniejsze wydać świadectwo. Ale i ci, z którymi stykał się codziennie bardzo często na pokładzie statku i nawet ci, którzy tkwili zawsze tuż przy nim przez cały czas rajzy — nie znali go i nie przejrzeli ani przez moment bodaj.

Gdy o szarym świcie „Dal" wypływała z zatoki kapitan stał na mostku z niezmiennie nieruchomą, bez wyrazu twarzą zapatrzony w niekończącą się srebrną przestrzeń. W ten sam mars, w ten sam skamieniały wyraz ułożone były jego rysy, gdy wracał. Tylko oczy zaczerwienione miał od wiatru, zmęczone bezsenną nocą, podczas której czuwał wraz ze sternikiem.

Gdy kołyszący się na kotwicy, przycumowany statek marynarze śpiesznie, ochotnie opuszczali, on jeszcze nie schodził ze swego posterunku.

Na molu nie witał go nikt. Biegły tylko przed nim radosne okrzyki młodych, pełnych życia i werwy par i dźwięki orkiestr z rzęsiście oświetlonych spelunek portowych.

Czas między jedną podróżą a drugą spędzał kapitan Wergner u starego Miliana. Usiłował zawsze ten czas ograniczyć do minimum. Wyruszał na nową wędrówkę w momencie, gdy tylko zremontowano i uzupełniono najdotkliwsze braki na „Dali". Czas spędzony na lądzie uważał za stracony. Drażnił go ten przymusowy odpoczynek. Buntowali się jego marynarze. Chcieli żyć trochę i na lądzie wśród bliskich, wśród muzyki i gwaru.

Wielki dziwak był z tego Wergnera. Długimi godzinami potrafił pić u starego Miliana ponuro zapatrzony w ogień na kominku. Z zadumy budził się tylko na krótkie mgnienie, żeby sprawdzić, która godzina. I o wczesnym świcie był na brzegu przy „Dali", czekał, aż zbierze się załoga i kiedy wreszcie statek da sygnał odjazdu.

Stary Wergner mógł pić szklankami, kuflami, prosto z flaszek nawet. Nikt w porcie nie miał tak silnej głowy.

Nie lubiał kompanów do picia. Nie lubiał rozmów. Poza tym nienawidził kobiet. Spluwał siarczyście za każdą modnie ubraną letniczką i nie było słów dość dosadnych, ordynarnych i brzydkich, by mógł nimi określić, jak bardzo gardzi nimi, sposobem ich bycia i ubioru.

Ale przeważnie zawsze był opanowany, zimny, nieodgadnięty.

Nie bał się nigdy pogody, ani niesprzyjających wiatrów, czy burzy. Statek jego odbijał zawsze od brzegów regularnie, według planu mimo czasem najbardziej niekorzystnych warunków.

Toteż nie było niczym dziwnym, że w ów krytyczny wieczór kapitan był na wybrzeżu przy swojej „Dali".

To były naprawdę straszne godziny. Mało kto z osady pamiętał burzę tak gwałtowną, tak żywiołowe, bezlitosne huragany rozszalałe na morzu. Zdawało się, że zbudziła się nagle dzika bestia drzemiąca dotychczas spokojnie wśród bezkresu wód. I potwór ten pienił się i szalał na zgubę ludzkości i słabych brzegów, gdzie szukała bezpieczeństwa i schronienia. Nikt nie czuł się pewny ani bezpieczny nawet we własnej chacie w głębi wybrzeża. Ściany drgały od ryku rozszalałych żywiołów, poddawały się porywom wichury.

Śród takiej nocy na Błękitnej Wyspie rzuconej na morzu o dwadzieścia kilometrów od brzegu, znalazła się jedna ludzka istota.

To była jedna z najbardziej tragicznych sensacyj, jaką przeżywało wybrzeże:

Nierozważna eskapada młodej pary letników na Błękitną Wyspę przy zapadającym już zmierzchu. Mężczyzna, fanatyk sportu chciał o własnych siłach przepłynąć stamtąd do wybrzeży dla treningu i dotrzymania warunków lekkomyślnego zakładu. Ona miała później przebyć tę przestrzeń kajakiem.

Czy wybrała się w tę podróż? Czy odstraszyła ją nadciągająca chmura? A jeżeli była dotychczas na Wyspie, co przeżywała tam sama na małym skrawku kamiennych występów?

Koniecznym było wysłanie jej natychmiastowej pomocy. A nóż boryka się z falami? A jeżeli huragan zniósł ją na pełne morze? Młody mąż rozpaczał. Nie umiejąc wiosłować na tyle, by sam w takich warunkach poprowadzić łódź ku Błękitnej Wyspie, zwrócił się o pomoc do marynarzy. Jeden po drugim wysłuchiwał historii, każdy oburzał się na lekkomyślność mężczyzny i... wręcz odmawiał.

Spuszczać łódź na taką falę, wśród mgły przesłaniającej świat cały? Wyjeżdżać na morze, by od razu zagubić kierunek, orientację? A zresztą czego szukać? Szczątków kajaku?.. Błękitna Wyspa jest zdradziecką przystanią podczas jasnego, spokojnego dnia. Kto dopłynie do niej dziś?

Młody człowiek nie ustawał w zabieganiu o pomoc, radę, w prośbach o ratunek. To on był winien, on, inicjator szalonej wycieczki na Wyspę. Teraz był bezsilny wobec tej myśli straszliwej, że ona gdzieś na morzu błaga żywioły o litość!...

Starego Wergnera znalazł w walącej się chatynie starego Miliana. Jak zwykle patrzał tępo w płomienie na kominku. Był już dostatecznie pijany, by nie myśleć o niczym więcej, jak tylko o bliskiej podróży „Dali". Nie zdziwiło nikogo, że i stary Wergner odmówił, choć on na pewno najmniej bał się burzy, czy wichru.

Dla młodego człowieka Wergner był ostatnią szansą ratunku, która oto wymykała mu się z rąk. Stary Wergner nie dał się przekonać ani obietnicą pokaźnego wynagrodzenia, ani najgorętszymi prośbami. Młody, elegancki światowiec stał na przeciwko tego milczącego marynarza i płakał wprost z bólu i rozterki.

— A gdybym?... powiedział, gdzie jest Elwira?

Pytania tego nie zrozumiał nikt z świadków owych przeciągających się i jak gdyby bezcelowych pertraktacji. Zdawało się być hasłem jakimś, symbolem znanym tylko im obydwom. Co oznaczało? Co to za imię kobiety, co atutem być miało silniejszym nad perspektywę majątku? Pięknie brzmiące romantyczne imię Elwiry... i stary, zdziwaczały pijus-marynarz, człowiek, o którym nic się nie wie? Cóż oznaczać mogło pytanie młodego? Tego nikt domyślać się nie mógł.

Zrozumiał je widocznie jednak Wergner, choć nie zdradził się słowem. Przesunął dłonią po oczach, jakby budził się ze snu.

— ...Elwira?...

Odwrócił się od kominka i milcząco wyszedł z izby.

Za niecałą godzinę był z powrotem. Wszyscy czekali na brzegu pełni skupienia, trwogi.

Wergner nie był w łodzi sam. Ocalił życie młodej żonie letnika.

W chacie Miliana rozcierano jej przemarznięte, zmoczone stopy i dłonie. Nie było końca okrzykom radości, pieszczotom, westchnieniom ulgi, bezładnym opisom wydarzeń. O rozpaczliwym położeniu na Błękitnej Wyspie, samotności śród ciemności i burzy. I wreszcie zjawia się łódź z nieznajomym bohaterem, z wybawcą...

On sam wspaniały w swej postawie i powadze stał na progu izby. Zdawał się nie słyszeć nic i nie widzieć tego, co działo się dookoła.

Zbliżył się wreszcie i dotknął ramienia szczęśliwego małżonka.

— Gdzie Elwira?... Powiedz więc... gdzie Elwira?!...

Tamten podniósł się zmieszany nagle, niepewny.

— Niech pan to weźmie!... Przykro mi, że tak mało, ale to wszystko, co mogę dać!... Moja wdzięczność za to, co zrobiliście dla mnie... — i nie patrząc staremu w oczy usiłował wcisnąć mu w dłoń zwitek banknotów.

Nie brał ich.

— Gdzie Elwira?!...

— Ja nie wiem... Ja tylko tak powiedziałem... Wiedziałem, że wtenczas pójdziecie na morze... Ja nie wiem... Straciłem ją z oczu wtedy, gdy i pan...

Stary marynarz przerwał pytając natrętnie, nieprzytomnie swym drewnianym, dziwnym głosem:

— Gdzie Elwira?...

Zmieniona do niepoznania była twarz kapitana Wergnera, gdy ze spuszczoną głową opuszczał izbę. Wrócił się od drzwi jakby dla sprawdzenia jeszcze:

— Gdzie Elwira?... — pytał znowu. A w głosie była skarga.

Na morzu ciągle jeszcze huczała burza, ale zwolna uciszały się wiatry.

„Dal" stała na kotwicy, ale żywo krzątano się już na niej.

Ktoś wyszedł kapitanowi naprzeciw. Pytano o czas wypłynięcia z zatoki. Donoszono o dokonanych naprawkach i o tym, jak stoi barometr.

Nie zdziwiło nikogo, że kapitan milczał. Wszak nigdy nie odzywał się słowem. Zaskoczyło wszystkich, gdy nagle zapytał tym przerażliwym nieswoim głosem:

— A Elwira?...

Zeszedł z pomostu.

Szedł wybrzeżem przed siebie coraz dalej od zakotwiczonej „Dali". Fale złe, niecierpliwe podpływały mu do stóp. Szedł nie zważając na nie, ciągle przed siebie, bezgłośnie poruszając wargami.

...Czy może szaremu niebu, co gdzieś daleko przed nim stykało się z morzem, zadać chciał to samo pytanie:

— Gdzie Elwira?

DZIEDZICZNE OBCIĄŻENIE

Bywają dni, w których na pewno każdy z nas (nie wiem po jakiego licha) wywlóczy z lamusa przebrzmiałych lat górnych i durnych jakieś epizody, wyłażą takie wspominki gdzieś z zakamarków mózgu, jak stare plamy na przenicowanym ubraniu i zaczynają utrapieńcze figle. I otóż taka utrapieńcza „plamka" z lat, kiedy się było na ławie szkolnej, wciśniętym pomiędzy surową twarz profesora, a tylną ścianą klasy — koniecznie pcha się pod pióro, które na nieskalany papier rzuca zgryźliwą, tudzież wesołą opowieść.

Najwięcej w pamięci utkwiły właśnie figle, płatane dawnym swym profesorom, kończące się zwykle parogodzinnym aresztem.

Mieliśmy profesora-matematyka, który, aczkolwiek miał dobre strony charakteru — posiadał mniej, lub więcej dla nas przykre dziwactwa, jakie trzeba było (o zgrozo!) pobłażać pod groźbą „pały" z matematyki. W któryś tam dzień nasz szanowny matematyk przepełniony był, jak balonik gazem, — humorem. A trzeba jeszcze wspomnieć, że gdy któryś z kolegów wspomniał mu o wesołych anegdotach, do jakich profesor specjalną czuł słabość — mieliśmy pewność, że lekcji nie będzie; trzeba było za to z nabożeństwem wysłuchiwać anegdot jego, mających siwą i długachną, jak św. Mikołaj, brodę — lecz śmiech chóralny, wykonywany zwykle na komendę, był wskazany i należał do dobrego tonu.

Opowiada więc nasz groźny kiedyindziej narrator-matematyk, już nie wiem którą anegdotę — kiedy jeden z kolegów moich, niesamowicie po sztubackich wagarach nie wyspany, rzecze nam w tajemnicy: — Muszę się wyspać koniecznie, a ten stary maruda niech ględzi, lecz kiedy trzeba będzie się śmiać, szturchańcem dajcie mi znać, a wy-

pełnię formy grzeczności najgłośniejszym śmiechem, aby nie obrazić profesorskiego ciała.

Zgodziliśmy się na to. Kolega istotnie wkrótce zasnął.

Profesor mówi, mówi... żarty coraz bledsze, klecone na poczekaniu aluzje do nas itp. Aż któregoś więcej nerwowego kolegę „krew zalała" i nieopatrznie rzekł jakąś impertynencję. Zrobiła się kompletna cisza. Matematyk wlepił w zuchwalca swe bazyliszkowe oczy, zmarszczył się w okropny sposób, a potem, przypomniawszy sobie zapewne gdzie się w tej chwili znajduje — uśmiechnął się boleśnie, sięgnął ruchem arcygroźnym, który nam nieszczęście wróżył, po swój potężny notes.

— Ha! — ryknął po chwili — zobaczymy czy jesteście tacy dowcipni z matematyki... zobaczymy — skandował już teraz, a potem znów zaczął porykiwać, jak tygrys, który ze swej dżungli wychodzi, by pożreć niewinne gazele. A biedne, dwunożne „gazele" trzęsąc spodniami i kłapiąc zębami, wybałuszyły swe przerażone oczy. Profesorski palec, który władczo ślizgał się od nazwiska do nazwiska aż nagle zamarł w bezruchu na jednym nazwisku.

Po klasie powiało mrozem. Po chwili padło nazwisko, jak salwa plutonu egzekucyjnego. Oczy wszystkich kolegów zwróciły się w stronę ofiary, której profesorski lancet będzie wycinał na żywo z mózgu kawałek po kawałku matematycznych formułek. Był to fatalny traf: ofiarą był właśnie kolega, który urżnął sobie drzemkę. Spał oparty czołem o splecione dłonie, bujając we śnie po obłokach, lub jak faun, goniąc po lasach piękne nimfy. Koledzy szturchają go. Biedaczysko budzi się nagle i sądząc, że profesor rzekł właśnie coś niesłychanie wesołego i, że trzeba w tym miejscu najgłośniej się śmiać — wybucha potwornym rechotem. Profesor zbladł jak gdyby samego diabła zobaczył. Twarz jego, wydłużyła się na podwójną długość, jak u chomika, postać cała zamieniła się w znak zapytania. Wyraźnie widać było w oczach jego strach paniczny i zdziwienie. A kolega nieopamiętany rżał jeszcze, jak koń na łące, wypuszczony ze swej dusznej i ciasnej stajni. Matematyk nie wytrzymał i ryknął głosem jaki wydaje człowiek, gdy niebacznie usiądzie na ostry przedmiot. I byłby zapewne w tym przerażeniu drapnął do kancelarii dyrektora (co pogorszyłoby sprawę), lecz na całe szczęście kolega wytrzeźwiał kompletnie i przestał się śmiać. Teraz dopiero profesor zaczął indagować i brać na męki biednego amatora snu. Nieszczęsny koleżka, spocony ze strachu, widząc w tym wypadku zamiast przysłowiowego miecza Damoklesa — groźną pałę z matematyki, zaczął jąkać swe usprawiedliwienia, które były słabym piskiem kurczęcia, pochłanianego przez jastrzębia: że to nerwowe, że on jest dziedzicznie obciążony, że miewa histeryczne śmiechy i jeszcze tam plótł jakieś androny tak, że profesor, zgłupiały zupełnie starał się w to uwierzyć. Burza zaczęła się rozchodzić. Nadzieja wstępowała w przerażone nasze umysły, że z „gradowej" chmury nie będzie „gradobicia". Na szczęście lekcja dobiegła końca. Ale pamięć o tym wypadku pozostała u wszystkich; kolegę zaś, któremu przytrafiła się owa fatalna przygoda, nazywaliśmy dziedzicznie obciążonym i to już tak do niego przylgnęło.

Tadeusz Komorowski



Świetna tancerka Ziuta Buczyńska odnosi duże sukcesy w teatrzyku „Złoty Ul" w Warszawie.

ZE SCEN WARSZAWY I KRAKOWA

TEATR KOMEDIA: „CYRK BRONIVAL"

Podczas przedstawienia w cyrku „Bronival" ulega nieszczęśliwemu wypadkowi jeden z akrobatów. Bezpośrednim sprawcą tego wypadku jest partner Charles, który źle obliczył miejsce chwytania i cyrkowiec runął na ziemię. Chociaż przed występem akrobaci pokłócili się ze sobą o dziewczynę, wypadek nie został spowodowany premedytacją Charlesa.

Mimo to rodzi się w Charlesie poczucie własnej winy (chociaż naprawdę takiej nie było) i chęć naprawienia jej za wszelką cenę. Wyrzuty sumienia nie dają mu spokoju. Nie zagłuszyła ich sława i fortuna jaką Charles w międzyczasie zdobył jako klown cyrkowy. Tymczasem po partnerze Charlesa od chwili wypadku zaginął wszelki ślad, poszukiwania nie dają żadnych rezultatów.

Po kilkunastu latach dopiero dowiaduje się Charles przypadkowo, że kolegę jego widział podobno ktoś w Ameryce. Sławny klown podpisuje więc kontrakt na występy w Nowym Świecie z myślą, że tam może spotkać swego dawnego partnera. Tak się też dzieje. W urządzonym konkursie wesołków Charles zdobywa pierwsze miejsce. Drugie zajmuje dawny jego partner z cyrku Bronival, który od czasu wypadku ma sztywną nogę i cierpi na częściowy zanik pamięci. Z tego powodu musiał zaprzestać swoich sztuk akrobatycznych i przerzucić się na sianie uśmiechów wśród widzów, chociaż sam ma w sercu smutek i żal. Jest w ciężkich warunkach materialnych. Charles chcąc wynagrodzić koledze mimo woli wyrządzoną krzywdę, tworzy z nim duet pod swoim sławnym nazwiskiem, przez co daje podstawy lepszej egzystencji swemu partnerowi.

Tę ciekawą sztukę (autor Scavenius) ujrzeliśmy w „Komedii" nadzwyczaj starannie wystawioną. Zawdzięczać to należy w dużej mierze reżyserii St. Perzanowskiej i świetnej grze aktorów.

Rolę główną miał równie urodziwy jak zdolny Andrzej Szalawski, wysuwający się coraz bardziej na czoło aktorów warszawskich. Postać Charlesa była trudna do zagrania, ale Szalawski wyszedł z niej zwycięsko: zarówno momenty dramatyczne jak i komiczne miał b. dobre. Również i Tadeusz Białoszczyński dał znakomitą żywą sylwetkę cyrkowca. W roli żony Charlesa przypomniała się publiczności warszawskiej Bonacka, której dłuższa abstynencja od sceny nie wyszła na dobre. Tę zdolną aktorkę stać było na zagranie lepsze niż tylko poprawne. Gołaszewska — jako trzpiotowata cyrkówka Pipa Pankelli dobrze spisała się w swej roli. Węgrzyn jak zwykle stworzył groteskę i jak zwykle publiczności się podobał. Junosza-Stępowski i Łuszczewski — doskonali. Porębska, Marynowska i Bogusiński mieli dobre momenty w epizodach.

Przedstawienie przerywają widzowie oklaskami przy otwartej kurtynie. Sztuka ma zapewnione powodzenie.



Wspaniała scenka finałowa p. t. „Pewnej nocy księżycowej" — w teatrzyku „Złoty Ul" w Warszawie. (Winiarska, Wilczyńska, Orwid, Pawłowski, Jankowski, Szałajska i Ślaski.)

ZŁOTY UL: „NOWE TYPKI I DOWCIPKI"

Najnowszy program kabaretu „Złoty Ul" odznacza się jak zwykle doborem pierwszorzędnych sił artystycznych i kulturalnymi tekstami. Dewizą Dyrekcji tego miłego teatrzyku jest: „Dobry aktor i dobry tekst". Daje to w wyniku jedną z najlepszych ostatnio w Warszawie rewietek.

Humor w programie reprezentują: M. Chmurkawska (pyszna jako szmuglerka w monologu „Mleczko i bon-ton"), J. Orwid (skecz „Paskudny ząb") i W. Jankowski (scenka „Dzidzi").

Nastrojowy wiersz Odrowąża p. t. Gorączka" przekonywująco recytuje H. Chodakowska pnąca się coraz wyżej w hierarchii aktorskiej. Pierwszorzędne maski w skeczu p. t. „Maski" stworzył Z. Chmielewski. Dwa tańce wykonane przez Ziutę Buczyńską cechuje duża miękkość, doskonała mimika i ciekawy układ. Chór Dana zbiera liczne brawa za swoje piosenki, szczególnie za humorystyczną „Medycynę"..

Zygmunt Bakuła

KRAKÓW — URANIA: KONCERT ORKIESTRY SYMFONICZNEJ FILHARMONII GEN. GUBERN.



Solista Władysław Wochniak (skrzypce)

W ubiegłym tygodniu dnia 4 bm. odbył się w sali „Uranii" koncert orkiestry symfonicznej z programem o „locie może cokolwiek obniżonym" w porównaniu z programami koncertów poprzednich, niemniej jednak zajmującym.

Uwerturę rozpoczynają wiolonczele przepiękną melodią przy dyskretnym towarzyszeniu skrzypiec. Motywy melodyjne rozwijają się pośród wspaniałej, a jakże naturalnej harmonizacji. Orkiestra odtworzyła uwerturę barwnie, przy czym należy podnieść piękną grę wiolonczeli.

Jako dalszy punkt programu odegrał p. Wł. Wochniak, świetny skrzypek-wirtuoz P. Sarasate'go „Melodie cygańskie" op. 20 i „Romans andaluzyjski" oraz J. Brahmsa „Taniec węgierski" N. I. z tow. orkiestry.

P. Wochniak znany nam jest z występów w kraju i za granicą, gdzie odnosił sukcesy, wzbudzając podziw swą mistrzowską grą. Gra jego pełna uczucia, wsparta na niezaprzeczenie najwyższej technice znalazła wyraz w reprodukowanych utworach pełnych iskrzącej się rytmiki. Wszystkie te trudności „przełamał" artysta z przedziwną łatwością, trafiając do serc słuchaczy.

Po długich domaganiach się przez audytorium artysta odegrał dodatkowo „Perpetuum mobile" Riess'a, które wypadło wspaniale.

Następnie orkiestra odegrała szereg utworów H. Berlioza, J. Lannera, Jana Straussa, J. Brahmsa i Józefa Straussa. Utwory te orkiestra zaprodukowała z odpowiednią charakterystyką, szczególnie Marsz węgierski i egipski, jak i obie polki zagrane z rozmachem, nie mówiąc o walcach, które orkiestra pod batutą p. R. Erba zagrała ze szczególną predylekcją. Nad program usłyszeliśmy znaną i wdzięczną „Polkę-pizzicato" J. Straussa.

Sala była publicznością przepełniona.

rz.

*

Dowiadujemy się, że koncert, który się odbył dnia 4 bm. będzie powtórzony w niedzielę dnia 21 marca br o godz. 10.30.

KONCERT W STARYM TEATRZE

„Kraków podobno jest bardzo trudny" — powiada p. Halina Dudicz Latoszewska, nasz znakomity gość warszawski, gdy podczas przerwy odwiedzamy ją w jej garderobie. A mówi to z czarującym uśmiechem i z pewnym jakby zakłopotaniem. Jakaż przedziwna skromność, przecież nie udana, cechuje świetną artystkę! Spieszymy więc natychmiast z uspokojeniem jej, że dla takiego talentu, jaki posiada śpiewaczka, „najtrudniejszy Kraków" przestaje być trudnym.



Karol Urbanowicz, Halina Dudicz-Latoszewska i Stanisław Drabik

Troje solistów śpiewaków stanęło na estradzie. Tylko troje: pani Halina Dudicz Latoszewska, primadonna operowa, wysoki sopran koloraturowy, p. Stanisław Drabik, artysta, śpiewak operowy, bohaterski tenor i p. Karol Urbanowicz, wysokiej klasy bas.

Zdawać by się mogło, że to zbyt mały zespół. I tylko śpiew, żadnych innych atrakcji, mający wypełnić całkowity program wieczoru koncertowego. Tymczasem od początku do końca nie pragniemy niczego więcej tylko tego wspaniałego tercetu. Wprost nie ma miejsca na nikogo innego.

Pani Latoszewska ma piękny, czysty, wysoki, sopran, fenomenalną koloraturę i dużą kulturę artystyczną. Świetna artystka wykonała szereg arii z operetek i wielce melodyjnych walców: Fr. Lehara, J. Straussa, Grothego, Różyckiego i piękny duet miłosny z operetki „Paganini" z p. Stanisławem Drabikiem.

Znakomity śpiewak p St. Drabik wykonał arię z op. Fr. Lehara „Kraina uśmiechu" i „Paganini", oraz Tostiego „Ideale", Bixio „Pragnienie", swojej własnej kompozycji muzycznej „Moja Canzonetta" i wreszcie na zakończenie duet z p Karolem Urbanowiczem „Sprzedana Narzeczona", którym porwał publiczność.

P. Karol Urbanowicz, posiadający zadziwiająco piękny w brzmieniu bas, odśpiewał St. Moniuszki „Czaty" i rozrzewniającą, przemiłą bajkę „Dziad i baba", Tostiego prześliczną, tęskną melodię „Vorrei Morire" i „Povera Mamma".

Rozentuzjazmowana publiczność domagała się ciągle bisów i nie chciała wprost puścić z estrady świetnych wykonawców, darząc ich huraganowymi brawami.

Specjalne uznanie należy się p. Drabikowi, który obejmując kierownictwo artystyczne, z tak nadzwyczajną starannością zorganizował ten koncert, dobrał znakomity zespół i na tak wysokim poziomie artystycznym postawił całość. Akompaniament p. Barańskiego stał na wysokości zadania.

J. L.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

ŚWIAT SIĘ



Pan może być naprawdę dumny ze swej okazałej biblioteki!
— Jestem też. Każdą książkę osobiście pożyczałem.
Beyers Frauen Illustrierte

— Doktor powiada, że potrzebuję zmiany klimatu.
— Bądź cierpliwą duszko, właśnie barometr zapowiada zmianę.

•

Stróż do lokatora:
— No, zamiotłem panu ślicznie schody... Teraz proszę na piwo!
— Dziękuję ci mój przyjacielu, ale ja piwa nie pijam.

•

Służąca do gościa:
— Państwa nie ma, ale zaraz wrócą...
— A czy można poczekać?
— Owszem, właśnie mnie się nudzi samej.



W oczekiwaniu na potomka: „Chłopiec, dziewczyna...“
Wiener Illustrierte

ANEGDOTY

Baron von Wimpfen przychodzi do handlarza obrazów i mówi oburzony:
— Jesteś pan oszustem.
— Dlaczego?
— Dlaczego? Bo obraz, który kupiłem wczoraj od pana ma sygnaturę oryginał Rembrandta! A ja przekonałem się, że to tylko kopia!
Na to z flegmą odpowiedział handlarz:
— Więc o co panu idzie, panie baronie? Sygnatura jest zupełnie słuszna. Oryginał obrazu jest naprawdę dziełem Rembrandta.

•

Mr. Brovn złamał nogę podczas wypadku automobilowego. Przez rok po wypadku chodził o kulach. W międzyczasie prowadził proces z towarzystwem ubezpieczeniowym o wysokość odszkodowania. Raz pyta go przyjaciel:
— Czy pana źle leczono, że tak długo pan chodzi o kulach?
— Ależ skąd — odpowiada Mr. Brovn — mój lekarz już dawno kazał mi chodzić o własnych siłach ale mój adwokat kategorycznie mi zabronił!

•

Dwie damy dworu Fryderyka Wielkiego sprzeczały się w drzwiach, która z nich ma wejść pierwsza.
Gdy nadszedł król obie damy zwróciły się do niego z prośbą o rozstrzygnięcie sporu.
— Której z pań mąż ma wyższe stanowisko — zapytał monarcha.
— Mają tę samą rangę.
— Który z nich dawniej otrzymał swą rangę?
— Jednocześnie obaj.
— A więc — oświadczył król — niech ta z pań wejdzie do drzwi pierwsza, która jest brzydsza.



— Kto upił mleka?
— Nie wiem, ale kotek zaczerwienił się bardzo gdyś weszła.
Das Illustrierte Blatt

DZIEWCZYNA I LUSTRO

Dziewczyna pusta
Spytała lustra:
„Czym piękna? Powiedz zwierciadło!“
„Tak, bardzoś piękna!“ — twierdzenie padło
Lecz powiedziały go usta dziewczyny.
Z tej prostej przyczyny,
Że wciąż o piękność pyta lustra dama.
Ale odpowiedź daje sobie sama.

•

Kobiety nie są takie bardzo święte.
Każdą zdobędziesz mądrze stawiając przynęte.

Jeśli mądrze zastawisz, tak jak u rybaka,
Wszystko każdej wybierzesz, jako rybę z saka.
—lir.

ZŁOTA MŁODZIEŻ

Gdy słońce ze snu wstaje różane,
Oni spać idą — nad ranem.
Gdy słońce do snu chyli się złote,
To zaczynają robotę.
lir.

ŚMIEJE

SZACHY

DZIAŁ SZACHOWY NR. 14
pod redakcją mistrza Europy i świata dra **A. Aljechina**

Problem Nr. 11
H. Lange
Czarne: Ke6, Wf4, Gg7 i h5, piony: e4, f6, g6 (7).
Białe: Kc7, Ha8, Wf5, Se5, pion: d6 (5).
Mat w 2 posunięciach.

Rozwiązanie problemu Nr. 10 (Orlimont):
1. Hf8—a3! Sb1×a3 2. Wb2—b4! i mat w 3 posunięciu.

Białe: Zita — Czarne: K. Junge
grana w turnieju w Pradze w grudniu 1942 r.
Obrona królewsko-indyjska.

1. c2—c4 Sg8—f6	10. Gc1—g5 Gc8—e6
2. Sg1—f3 g7—g6	11. Gg5×f6 [3]) Gg7×f6
3. g2—g3 Gf8—g7	12. Sc3—e4 Gf6—e7
4. Gf1—g2 0—0	13. b2—b3 [4]) f7—f6
5. 0—0 d7—d6	14. Wf1—d1 Wd8×d1
6. d2—d4 Sb8—c6	15. Wa1×d1 Wa8—d8
7. Sb1—c3 [1]) e7—e5	16. Wd1×d8 Sc6×d8
8. d4×e5 [2]) d6×e5	17. Sf3—e1?? [5]) f6—f5
9. Hd1×d8+ Wf8×d8	Białe poddały się.

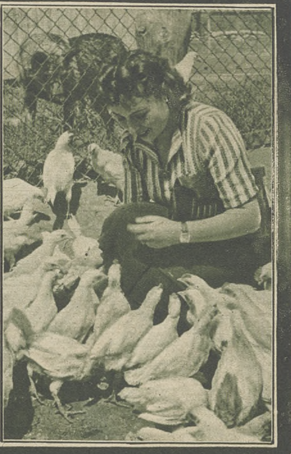
Uwagi:
[1]) Po tym posunięciu uzyskują czarne równowagę w centrum. Zamiast tego miały białe do dyspozycji kontynuowanie, dające im doskonałe widoki gry: 7. d4—d5 Sc6—b8 8. Sb1—c3 e7—e5 9. d5×e6 e. p. itd.
[2]) Po kilku ruchach otwarcia białe rozpoczynają wymianę figur — bardzo licha strategia. — Na rozwagę zasługiwało: 8. Gc1—e3.
[3]) Jest to już prawie, że wymuszonym, gdyż w razie 11. b2—b3 nastąpiłoby e5—e4.
[4]) Teraz są osłabione białe pola pozycji białych, a wymiana wież nie odciąża zbytnio sytuacji białych.
[5]) Oczywiście białe grając 17. Sf3—d2 mogły jeszcze utrzymać pozycję, co prawda przy bardzo niekorzystnej dla siebie końcówce. Po posunięciu w partii ginie figura.

UWAGA FOTOAMATORZY!



SIEW
Bardzo malowniczo wybrany fragment krajobrazu wiejskiego. Wprawdzie postać siewcy znajduje się za bardzo na prawo, ale postacie ludzi pracujących na dalszym planie, wyrównują to i ratują dzięki temu kompozycję. Zdjęcie to wykonał p. Kasprzyk ze Skawiny.

NA PODWÓRKU
Kury otaczają wieńcem damę, dlatego w tym wypadku lepiej było wybrać na zdjęcie format poprzeczny. Zegarek na ręce i torebka nie są całkiem „stylowe“ dla rodzajowego obrazka wiejskiego. Ciekawy piesek zaglądający przez kratę mógłby stanowić osobny temat do nowego zdjęcia. W całości jednak zdjęcie to tworzy piękny, pełen życia obrazek. Zdjęcie to wykonał p. Bogdan Urbanowicz z Czyżyn.







Przebudzenie wiosny

Fot: Atlantik, Archiwum. IKP 2

